

ŻYJE, CZY TO))) MAŁO?

FILIA

„Ta książka nie oskarża,
lecz inspiruje do refleksji
nad światem, jaki
tworzymy dzieciom”.

Joanna Flis

„Marcin Łokciewicz
pracuje z dziećmi,
które nie mają siły żyć.
I pokazuje, że o życie
łatwiej walczyć wspólnie”.

Małgorzata Gołota

MARCIN ŁOKCIEWICZ
KATARZYNA KACHEL

MARCIN ŁOKCIEWICZ
KATARZYNA KACHEL

**ŻYJĘ,
CZY
TO
MAŁO?**

FILIA

Zabór

Zabór.

Centrum Leczenia Dzieci i Młodzieży w Zaborze, ulica Zamkowa 1. Szpital mieści się w pałacu, który posiada dwa piętra, tyle samo skrzydeł i centralny łącznik. Istnieje od dwudziestu pięciu lat, to największa placówka tego typu w Polsce. Znajdują się w niej: pododdział młodzieżowy (tzw. oddział A), pododdział dziecięcy (tzw. oddział B), poradnia zdrowia psychicznego dla dzieci i młodzieży oraz oddział obserwacyjny (tzw. oddział C, mieszczący się w budynku obok pałacu). Miejsc: 80. Od dłuższego czasu ponad połowa hospitalizowanych pacjentów to młodzi ludzie po próbach samobójczych. Wielu z nich o Zaborze mówi „mój drugi dom”.

Zabór: Miejsce, które daje nadzieję

Jest takie miejsce, gdzie trafiają ci, którzy nie chcą lub nie umieją żyć, nie widzą sensu dalszego istnienia. Śmierć wydaje im się łatwiejsza. O takich jak oni mówi się różnie i wciąż często stygmatyzująco: świry, psychole, wariaci, przegrywy. Psychologia i psychiatria ujmuje ich przypadki w naukowe terminy i jednostki chorobowe, wśród których znajdziemy depresję, schizofrenię, liczne zaburzenia rozwoju psychicznego, zaburzenia zachowania, nastroju i emocji, zespoły chorobowe związane ze stresem, nerwice i wiele innych. Za każdą nazwą kryje się konkretny człowiek, który ma swoje imię i swoją niepowtarzalną historię. Zwykle ich nie znamy.

Czytając alarmujące statystyki i teksty o problemach dziecięcej psychiatrii, widzimy liczby i całe oceany problemów, w których łatwo konkretnego człowieka zgubić, nie zauważyć jego twarzy i jednostkowego bólu. Dlaczego cierpią, na co choruje ich dusza, czy potrzebują terapii, a jeśli tak – to jakiej? Dlaczego się okaleczają, potykają tabletki, znajdują ucieczkę w destrukcji, którą są uzależnienia, autoagresja, agresja, anoreksja, toksyczne relacje? Co w ich rodzinach, środowiskach działo

się nie tak, czego zabrakło albo było w nadmiarze, gdzie i kiedy zaczęło się psuć i to tak mocno, że jedynym ratunkiem okazał się szpital psychiatryczny? Jakich ich potrzeby nie zostały zaspokojone, dlaczego nie czują się bezpiecznie ani w domu, ani w szkole? Dlaczego samobójstwo uznają za jedyne rozwiązanie?

Czy Marcin Łokciewicz, autor książki *Zamek rządzi*, facet, który zna szpital psychiatryczny od kuchni, odpowie na wszystkie pytania, czy poda gotowe recepty na wszelkie istniejące tragedie dziecięcego świata? Nie, ale dysponując dwudziestopięcioletnim doświadczeniem jako wychowawca i arteterapeuta w Zaborze, doskonale potrafi dostrzec, jak krucha jest dziś kondycja psychiczna dzieci, jak gwałtownie i lawinowo się rozpada i dlatego tak się dzieje. To nauczyciel, który nie ma w sobie nic z mentora, jest nieszablonowy, nieraz wręcz odjechany; dla dobra dziecka stworzył kilka niestandardowych modeli prac wspierających terapię. W tej książce czytelnik nie znajdzie okrągłych formułek na temat depresji czy wychowania, ale prawdziwą, czasami niewygodną diagnozę kondycji rodziny, systemów opieki, szkoły, oddziałów psychiatrycznych. To jazda bez trzymanki, z trzewi

prawdziwa, patrosząca i szczerą do bólu. Bohaterowie tych opowieści to ofiary przemocy, sekstingu, osoby cierpiące na depresję, zaburzenia lękowe, anoreksję, uzależnione od gier, używek. Ich świat pełen jest hejtu, patostreamingu, wulgarnej muzyki i toksycznych relacji. Wszyscy spotkali Marcina, był częścią ich drogi do zdrowienia.

Marcin to rozmówca, który nie boi się trudnych tematów, nie ma dla niego krępujących pytań. To człowiek, który widzi miazgę różnych systemów, ich braki i luki, ale przede wszystkim dostrzega kryzys rodziny i wszechobecną niemilość, która jest przyczyną chorób dzieci. I o tym wszystkim opowiada bez ogródek, prosto z mostu.

To nie jest książka przeciwko rodzicom, szkole, szpitalom, psychologom czy lekarzom. To książka, która pokazuje, że mimo chorego systemu można robić wiele rzeczy dobrych, że miłość, obecność, uwaga i szacunek są kluczowe w procesie zdrowienia dziecka i przywrócenia mu wiary, by chciał żyć. To lektura niełatwa i niewesoła, bo dotyczy najcięższych chorób, najtrudniejszych doświadczeń i niedopuszczalnych przekroczeń, których ofiarami są dzieci. A to boli, uwiera i rodzi złość, trudno bowiem pogodzić się z cierpieniem najmłodszych. Ale jest

to także książka niosąca nadzieję, pokazująca, że nawet z bagna można wyjść i wieść udane życie, i to życie, z którego można być dumnym. Wierzę, że będzie to lektura, która sprawi, że choroby psychiczne przestaną stygmatyzować i wiele osób zada sobie to samo pytanie, które od lat nurtuje Marcina: „Dlaczego człowiek jest bohaterem, kiedy wygrywa z białaczką bądź innym nowotworem, a nie jest nim, kiedy wygrywa z depresją?”

Jedna z byłych podopiecznych Marcina Łokciewicza napisała do niego po opuszczeniu szpitala list. Dziękuje w nim za rozmowy, mecze, działania artystyczne, za Tadzika – wielkiego miśka terapeutycznego, które Marcin zbiera dla swoich wychowanków po całej Polsce. List kończy się tak: „Myślałam kiedyś, że bohaterowie noszą peleryny i mają supermoce, dziś widzę, że bohaterowie to tacy ludzie jak pan”. I takim właśnie bohaterem jest Marcin Łokciewicz, człowiek, który lubi powtarzać: „Rodzice są wodą, a dzieci gąbką. Tylko od nas dorosłych zależy, czy nasza relacja z dziećmi będzie dla nich zimnym prysznicem, czy przyjemną ciepłą kąpielą”.

Katarzyna Kachel

I. Eliza

Eliza.

Hospitalizowana w Zaborze dwa razy, w wieku czternastu i siedemnastu lat. Przyczyna: zaburzenia lęko-wo-emocjonalne, depresja, myśli i próby samobójcze. Nastolatka się okaleczała, miała zachowania auto-destrukcyjne, jest ofiarą sekstingu i gwałtu. Dziś ma osiemnaście lat, kończy liceum, jej mama pierwszy raz od trzech lat może spokojnie zasnąć.

Eliza: Z rodzicami o takich rzeczach wstyd rozmawiać

Miałam dziewięć lat, kiedy umarła moja świnka morska, i tyle samo, kiedy zaczęłam oglądać filmy pornograficzne. Po obu został trwały ślad. Strata świnki była końcem mojego dziecięcego świata, do którego jeszcze przynależałam, pornografia początkiem nowego, który przetrzącił mnie na zawsze. Świnkę opłakiwałam jak przyjaciela i powiernika, w szkole nie potrafiłam, może nie próbowałam nawet ukryć rozpacz. Wychowawczynie skwitowała moją katastrofę krótko i bezdusznie: „To tylko świnka, przestań ryczeć”. Mocno zabolalo i wystarczyło, by klasa sprowadziła dziecięcy dramat do żartu i przezwisk, które ciągnęły się za mną długimi szkolnymi korytarzami. Słyszałam „zdechła świnka, zdechła świnka” i głośny śmiech, który urastał w chór nieprzyjaznych i wrogich dla mnie głosów.

Regularne docinki i wyzwiska zamieniły się z czasem w popchnięcia i uderzenia, a kolejne dni i lekcje w rzeczywistość, z której najchętniej bym się wylogowała. Nie chciałam w niej być. Spokojna i cicha koleżanka, do której pojechałam na noc, miała normalną fajną rodzinę. Ale zamiast bawić

się lalkami, Laura kilka godzin puszczała mi w sieci pornograficzne filmy. To było ciekawsze niż gra w dom. Nikomu o tym nie mówiłam. Z dorosłymi o takich rzeczach się nie rozmawiało. W szóstej klasie koleżanka zrobiła mi zdjęcie od tyłu, kiedy stałam w krótkich spodenkach przy tablicy i rozwiązywałam zadanie. Zbliżenie mojej pupy rozesłała po rówieśnikach, a ja szybko usłyszałam, że jestem szmatą i dziwką. Wtedy nie umiałam tego jeszcze nazwać, ale w klasie stałam się kozłem ofiarnym, moja samoocena równała się zeru, nie wierzyłam, że cokolwiek znaczę, zaczęłam się okaleczać. To przynosiło ulgę, nie na długo, na chwilę, ale jednak. Pedagożka szkolna próbowała mi pomóc, rodzice zaprowadzili mnie do psychologa, rozpaczliwie szukałam uwagi i zrozumienia.

I wtedy poznałam Rafała. Miał trzynaście lat, ja czternaście. Zaczęliśmy ze sobą chodzić i od razu współżyć; to on zaproponował taki układ, a mnie wydawało się, że tak trzeba, że będzie to dowód mojego przywiązania i miłości. Minęło kilka miesięcy, zanim mama zorientowała się, co się dzieje. Nie spytała wprost, po prostu zapisała mnie do ginekologa, że niby pierwsza wizyta, która miała mnie uświadomić. Nie wiedziałam, jak powiedzieć, że nie

jestem dziewicą, zaczęłam się głupio tłumaczyć, że nie mam błony przez zabawy z wibratorem, nie uwierzyła. Dziś się z tego kłamstwa śmiejemy, ale wtedy zrobiła się niezła zadyma, musiałam wyłożyć karty na stół, powiedzieć o seksie z Rafałem. Chyba tylko jakimś cudem nie zaszłam z nim w ciążę, bo przecież się nie zabezpieczaliśmy. Skończyło się na ostrej pogadance z moimi i jego rodzicami, niezłe się nam dostało. Byłam w rozsypce, okaleczałam się coraz częściej, w internecie szukałam sposobu na samobójstwo.

Do Zaboru trafiłam na cztery tygodnie, wyjechałam z diagnozą zaburzeń emocjonalno-lękowych i wiarą, że mogę coś zmienić. Ale przyszedł covid i przestaliśmy się z Rafałem spotykać, co równało się z tym, że przestaliśmy uprawiać seks. Wtedy mnie rzucił, a oprócz smutku zostawił we mnie przekonanie, że jedyne, co mogę zaoferować mężczyźnie, to moje ciało. Inaczej nic z relacji nie będzie. Pandemia mnie ucieszyła, nie musiałam chodzić do szkoły, nikt mi nie dokuczał, zdalne nauczanie było znośne, lubiłam być sama. Myśl o powrocie do szkoły mnie paraliżowała, to był totalny cringe, bałam się drwin, bałam się rówieśników. Szkołę średnią zaczęłam w innym mieście; z czystą kartą,

nowymi ludźmi, bez przeszłości. Szybko stałam się duszą towarzystwa, łatwo nawiązywałam kontakty z chłopakami, co stawało ością w gardle większości koleżanek. Relacje budowałam na seksie, czułam się niedowartościowana, nie wiedziałam, że można być z kimś inaczej niż przez ciało i seksualność.

W Adamie, który zaproponował mi układ „friends with benefits”, związek bez zobowiązań, oparty głównie na zaspokajaniu potrzeb seksualnych, szybko się zakochałam. Liczyłam na coś więcej, cierpiałam, spełniając jego zachcianki i słysząc, że interesuje go tylko mój tyłek – więc o niego dbałam, ćwiczyłam, chodziłam na siłownię. Raz wybrałam się z kolegą z przedszkola, chłopakiem mojej przyjaciółki. Kiedy dziś o tym myślę, „obcinał” mnie wzrokiem od samego początku, wtedy jednak nie zapaliła mi się żadna czerwona lampka. W szatni byliśmy tylko we dwójkę, nagle spytał, czy uprawiałam seks w miejscu publicznym. Odparłam żartobliwie, tak jak się odpowiada na głupie zaczepki: „Kto tego nie robił w miejscu publicznym, niech podniesie rękę do góry”. Ale to nie był żart, bo szybko rzucił, czy chcę z nim to zrobić tutaj. Nie czekał na odpowiedź, odwrócił mnie, przygniótł swoim stukilogramowym ciałem tak, że nie mogłam oddychać. Leżałam jak

***Wszystko przeżywałem nadmiernie, bardziej.
Towarzyszył mi smutek, związany z brakiem ojca,
którego pamiętałem jak przez mgłę, urywkami.***

***Zaburzenia odżywiania były częścią mojej
codzienności, ale też moim największym sekretem.
Bałam się powiedzieć komukolwiek, bo od potrzeby
wsparcia, silniejszy był lęk przed tym, że ludzie będą
mnie postrzegać jako gorszą.***

**W NAJWIĘKSZYM SZPITALU PSYCHIATRYCZNYM
W POLSCE, CENTRUM LECZENIA DZIECI I MŁODZIEŻY
W ZABORZE, PRZEBYWA NA CO DZIEŃ OK. 70–80
MŁODYCH PACJENTÓW.**

Są to dzieci i młodzi ludzie, którzy nie chcą lub nie umieją
żyć. Zajmuje się nimi zespół lekarzy, psychologów,
pielęgniarek, pedagogów i opiekunów.

**Marcin Łokciewicz – wychowawca i arteterapeuta – od 25
lat pracuje w Zaborze. Z dziennikarką Katarzyną Kachel
rozmawiają o tym, jak ważny jest bliski kontakt z dziećmi,
aby skutecznie im pomagać.**

**To nie jest książka przeciwko rodzicom, szkole, szpitalom,
psychologom czy lekarzom. To książka, która pokazuje, że
mimo chorego systemu, można robić wiele rzeczy dobrych,
że miłość, obecność, uwaga i szacunek są kluczowe
w procesie zdrowienia dziecka i przywrócenia mu wiary,
by chciało żyć.**

cena 52,90 zł

wydawnictwofilia.pl



FILIA

NA FAKTACH

ISBN 978-83-8357-370-0



9 788383 573700